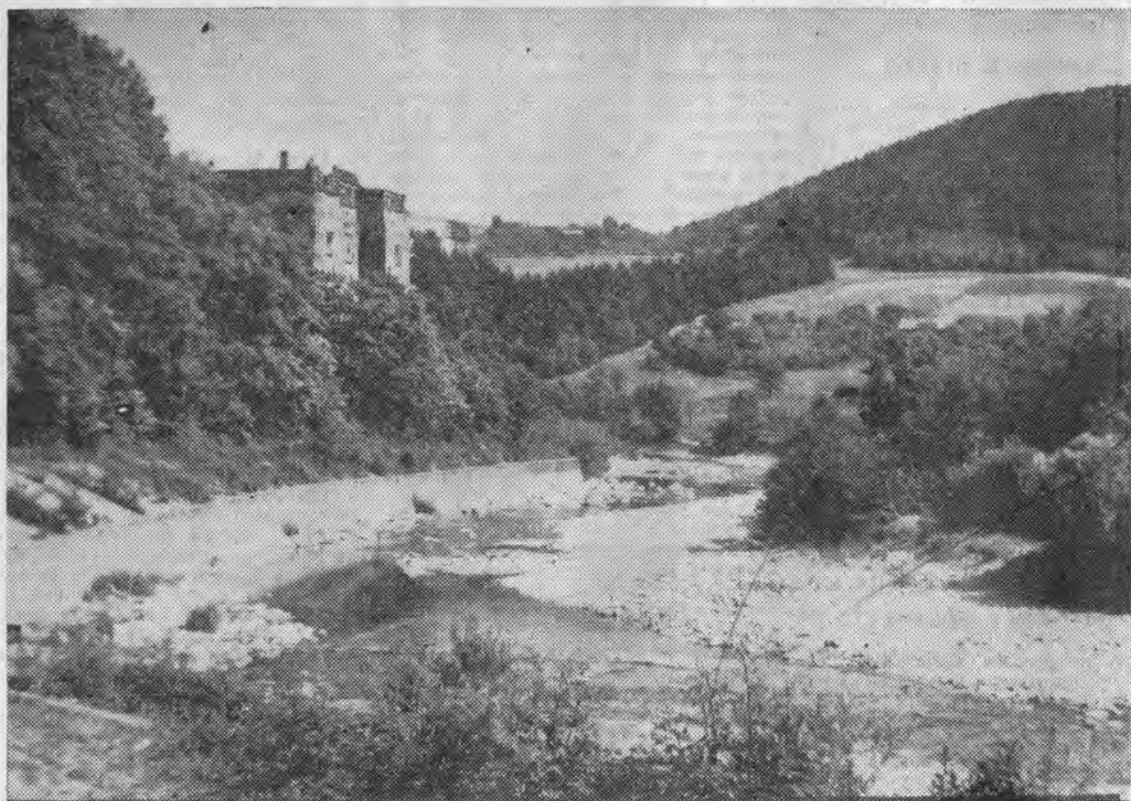


WIDNOKRĄC

TYGODNIK KULTURALNY

OKAZUJE SIĘ
Z „NOWINAMI
RZESZOWSKIMI”
Nr 33 (150)
Rok IV
16 VIII 1964 r.



Ruiny zamku obronnego w Szymbarku nad rzeką Ropą.

Fot. ZDZISŁAW POSTĘPSKI

W 20 rocznicę bitwy pod Studziankami

„Walczyli jak stalingradczycy“

Miedzy Pilicą a Radomką, u północnego skraju Puszczy Kozienickiej, leży niewielka wioska, Studzianki. Zjadą do niej wkrótce kombataneci, żołnierze, młodzież. Uczczą bohaterów i wydarzenia sprzed 20 laty.

1 sierpnia 1944 r., gdy w Warszawie wybuchło powstanie, 8. Armia generała Czujkowa sforsowała Wisłę pod Magnuszewem i zdobyła niewielki przyczółek między Pilicą a Radomką. Po czterech dniach, gdy przyczółek okrzepł, dowództwo niemieckie oceniło niebezpieczeństwo: przyczółek na zachodnim brzegu Wisły był bezpośrednim zagrożeniem dla Warszawy od południa, otwierał drogi w kierunku na Kielce i na Łódź. Hitlerowcy ścigając więc rezerwowe jednostki i zaciekle kontratakują. Za wszelką cenę chcą zlikwidować przyczółek. Spod Warszawy przybywa śpiesznie ściana dla Włoch doborowa dywizja pancerna - spadochronowa „Herman - Goering”, przełamuje na wąskim odcinku front i zajmuje wieś Studzianki. Naprzeciw staje wówczas - w ugrupowaniu wojsk radzieckich - polska brygada im. Bohaterów Westerplatte.

I tak dochodzi do 7-dniowej bitwy o Studzianki. Z tego starcia z elitarną jednostką armii hitlerowskiej wyszli zwycięsko polscy pancernicy i żołnierze generała Czujkowa. Przyczółek został uratowany. Do historii chwały polskiego oręża przybywa nowa karta - STU-DZIANKI.

Dowódca brygady, generał Mierzyca, wydał 8 sierpnia rozkaz zakończenia słowami: „Na przyczółek. Tylko tam nasze miejsce. Linia frontu - granicą Ludowej Polski”.

Natychmiast po ukończeniu - pod bombami „stukasów” - przeprawy pierwszej kompanii pierwszego pułku czołgów radziecki oficer łącznikowy poprowadził wozy bojowe na południe i zachód od wzgórza 112,2 blokując tam w zasadzie leśne przesieki. Hitlerowcy ruszyli nocą do ataku. Stracili dwa czołgi, dwa działa, dwa ciągniki i 170 grenadierów.

Rankiem 10 sierpnia przeprowadziła się druga kompania. Kontratakowa

wali Niemcy, ale nie udało się im przedrzeć przez polską zaporę. Południe tego dnia było kulminacyjnym, najbardziej dramatycznym momentem bitwy. Hitlerowcy raz po raz ruszali do ataku. I raz za razem byli powstrzymywani. Gdy sześć polskich wozów z przeprawionej już, kolejnej trzeciej kompanii znalazło się w Laskach Powiślańskich, natarcie niemieckie dochodziło już do krawędzi studziankowskiego wzgórza, decydującego o panowaniu nad okolicą. Oficer łącznikowy zawiadomił por. Tarajmowicza o sytuacji - i czołgi bez wsparcia piechoty, bez rozpoznania ruszyły do szarży. Uderzyły w skrzydło batalionu grenadierów wspartego kompanią czołgów T-IV. Niemcy ponieśli ciężkie straty, zalał się ich natarcie. Z naszych czołgów nie wrócił ani jeden, wszystkie pozostały na placu boju. Pod pancernym znacznym białym orłem zginał Polak urodzony na Białorusi, dowódca kompanii por. Rościśław Tarajmowicz oraz kilku dowódców czołgów: Gajewski, Dackiewicz, Gusiński. 14 pancerników zostało zabitych, a 6 - ciężko rannych.

Kronikarz zanotował tego dnia szereg epizodów świadczących o niezwykle zaciętości boju i bohaterstwie żołnierza radzieckiego i walczącego wespół z nim polskiego czołgisty. Gdy hitlerowcy okrzykiem punkt obserwacyjny radzieckiej artylerii, obsadzony przez parę gwardzistów - łącznikowców, małżeństwo Salyninów, ci bronili się do ostatniego naboju w pepeszach, a następnie wezwali na siebie ogień baterii. Wóz nr 225 dowodzony przez chorążego Gruszkę zniszczył baterię moździerzy i spalił „Ferdynanda”. W boju tym chorąży został ciężko ranny w głowę, a czołg wyszedł ze starcia z rozerwaniem u wylotu lufy. A jednak nie wycofali maszyn z placu boju: na polu walki, ręczną piłką obcięto uszkodzony kawałek lufy i czołg strzelał później z tak skróconego działa. W tym to dniu Niemcy, rzucając do walki nowe kompanie czołgów i bataliony grenadierów, usiłowali rozszerzyć dokonany wcześniej na przyczółku wyłom. Pierwszy impet ich natarcia został powstrzymany przez żołnierzy radzieckich i polskich. Po zapadnięciu zmierzchu cały polski pułk pancerny, skoncentrowany, został na

przyczółku. W trzecim dniu bitwy wielokrotnie dochodziło do starć wręcz i walk w okrażeńiu. Radzieccy piechurzy zdobyli śmiałym atakiem północno-zachodnią część Studzianek. Hitlerowcy uzyskali chwilowe powodzenie i podeszli pod wzgórze 112,2. Po południu, radziecki pułk strzelców zdobył cegielnię i wieś Studzianki. W dwie godziny później - hitlerowcy gwałtownym kontratakiem odzyskali cegielnię i wioskę, odcieśli i okrzykami batalion. O świcie następnego dnia polska piechota z czołgami ruszyła do ataku, zdobyła Studzianki i umocniła się wokół skrzyżowania dróg. Bohaterstwem wyróżnił się dowódca plutonu, chor. Szymański. Jego czołg pierwszy dotarł do skrzyżowania dróg i tam trafiony pociskiem - spłonął. Szymański, ciężko ranny wyskoczył z maszyny i położył z pistoletu czterech nadbiegających hitlerowców, nim dosięgła go śmierć.

Przy silnym wsparciu lotnictwa, po trzykrotnym ataku, hitlerowcy odzyskali Studzianki rankiem 12 sierpnia. W kilka godzin później usiłowali to wykorzystać i uderzyli na pozycję 1. kompanii w Laskach Powiślańskich. Zostali odrzuceni. Gen. Głazunow, dowódca IV korpusu, z którym współdziałała polska brygada - rozwinął działania zaczepne. W szkach nacierających pododdziałów radzieckich walczyły czołgi 1. kompanii, 1-go pułku. Jej dowódca, kpt. Tiufiakow odkrył miejsce postoju sztabu pułku grenadierów, skryte w lesie i oślaniane przez trzy „Tygrysy”. Tiufiakow użył podstępów, omotał szmatami rolki ścisając hałas gasienic, spalił dwa nieprzyjacielskie czołgi. Jego kompania, wespół z fizylierami, rozbiła sztab i zdobyła sztandar.

Działania prowadzone przez wojska gen. Czujkowa w nocy z 12 na 13 sierpnia przyniosły zablokowanie niemieckiego klina i uformowanie wokół niego kleszczy. Mimo to, rankiem udało się hitlerowcom po raz ostatni zdobyć Studzianki. W wyniku uderzeń pododdziałów radzieckich i polskich, cała gardziel niemieckiego włamania w przyczółek została zwężona do około 1000 m. Przeciwnik nie miał jednak zamiaru wycofywać się i z uporem wpychał posiłki przez wą-

(Ciąg dalszy na str. 3)

STANISŁAW PAGACZEWSKI

Przygotowanie

już od rana
pracowałem:
ty staniesz tu powiedziałem słońcu
i oświetlisz jej twarz na tle splekanych belek szalasu

łakę położymy całkiem blisko
by pod stopami miała trawę pełną kaczeńców

dąb ławy powiedziałem musi się nagrzać słońcem
tak jakby sam był łagodnym źródłem ciepła

niebo rozciągniemy na bukach
wygladimy zmarszczki suchą dłonią
pnie brzoź podmalujemy
kilkoma pociągnięciami

na dany znak strumień ruszy w drogę
to będzie akompaniament
a żółty śpiew wilgi błysnie w liściach jak szpada

tak
wszystko gotowe

Olszaniczka

znów czuję chłód twojej wody na bosych stopach
znów szumisz dniom moim męskim
splukujesz z nich biały kurz wędrówek

Olszaniczko
rzeko mojego dzieciństwa
wzruszająca zawsze i wierna

bądź moim Styksem

Charona z łodzią nam nie trzeba
przejść
nie maczając kolan

tylko czy tam
też będą
nagrzane słońcem łaki?

Uherce, 3 VI 1964



Zart fotoğraficzny.

Fot. Z. POSTĘPSKI

JAROSŁAWSKI ROCZNIK

Stowarzyszenie Miłośników Jarosławia to jedno z najbardziej zasłużonych u nas towarzystw regionalnych, posiadające w swoim dorobku wiele pięknych inicjatyw, akcji oraz innych uświetnionych sukcesami wysiłków, mających na celu dobro miasta i jego mieszkańców. Ponad 120 referatów i odczytów, wystawy grafiki, malarstwa i książek, starania o uratowanie cennych zabytków miasta, współpraca przy organizowaniu grupy artystów Jarosławia — oto tylko niektóre z poczynań tego towarzystwa obchodzącego w roku bieżącym swoje trzydzieste-lecie.

O poczynaniach tych i historii Stowarzyszenia pisze szerzej jeden z jego współtwórców dr Kazimierz Gottfried w nowym tomiku rocznika jarosławskiego, poświęconym 20-leciu Polski Ludowej i 30-leciu SMJ.

Rocznik ten — blisko 200-stronicowa książeczka — zawiera 35 prac, artykułów oraz notatek informacyjnych dotyczących historii Jarosławia (mgr Antoni Kunysz — „Z biegiem Sanu”, dr K. Gottfried — „Z przeszłości jarosławskiego szkolnictwa”, Jan Harlander — „Pułkownik Leon Czechowski”, Mojżesz Steinberg — „Żydzi w Jarosławiu”, mgr M.

Kosmaty — „Działalność UPA”), jego placówek oświatowych (mgr Z. Hiermanowa — „Monografia technikum ekonomicznego”, E. Kieferling — „Liceum sztuk plastycznych”, inż. J. Szmigielski — „Państwowa Szkoła Muzyczna”) oraz placówek gospodarczych, służby zdrowia, a także kilka prac dotyczących problemów ekonomicznych — przemysłu, rolnictwa, transportu i handlu. Trudno wymienić tutaj tytuły i autorów wszystkich 35 prac. Toteż zainteresowanych odsyłamy do tego ciekawego wydawnictwa. Czytelnikom zaś prezentujemy kilka ciekawostek historycznych o Jarosławiu zebranych i opublikowanych w Roczniku przez Władysława Budzisa.

ZAŁOŻENIE MIASTA

„Lubo zaś Bartł. Paprocki założenie miasta Jarosławia Jaskowi z Melsztyna przyznając, rok temu 1333 naznacza, co po nim Marcin Bielski dziejopis i redopisy nasze Okoński i Niesiecki powtarzają, niewiele baczni na dokładną prawdę, jest jednak rzeczą pewną, że Jarosław, nie o jeden wiek był dawniejszy”.

RODZINA JAROSŁAWSKICH

„Najpierwsi dziedzice Jarosławia, ile jakiejkolwiek ślady postrzeżone w dziejach domyslać się pozwalają, Leliwiczowie byli, oni w tej części Rusi czerwonej na około włości dzierżeli i iak świadczy Stan. Orzechowski, najpierwsi starostami ziem ruskich były wielcy Leliwacy. Posiadając to dziedzictwo i pisząc się najprzód z Jarosławia, obyczajem naszego języka i kraju, z czasem nazwę Jarosławskich wzięli. Nazwa domu Jarosławskich zgłasza za Zygmunta I”.

PIERWSZA SZKOŁA

„Zofia ze Sprowy, Krzysztofa Tarnowskiego kasztelana wojnickiego na przód, a potem Jana Kostki wojewody sandomierskiego małżonka w r. 1562 założyła w Jarosławiu szkołę, aby w niej bakałarz uczył dzieci czytać i pisać”.

JESZCZE O SŁYNNYCH JARMARKACH

„Na jarmarki walne przywóz wszystkiego był wolny, od każdego tylko wozu po wyłożeniu towarów płacono do miasta po groszu jednym. W czasie jarmarków sto chłopów odbywało nieustanną straż dzienną i nocną. Państwiska i łązy ku wsi Pełkiniom, o-

beymowały liczne zgony bydła. Starowski twierdzi, iż na jarmarku jarosławskim bywało koni 20.000 a przesię 40.000 wołów”.

BYWAŁO I TAK

„Słynęły jarmarki w Jarosławiu, ścigali się na nie kupcy zagraniczni. R. 1484 gdy Krzysztof Szafraniec w Podgórzu lotrował, idących z Wrocławia kupców do Jarosławia napadł w drodze i złupił. Ale schwytały za to dał gardło”.

KŁĘSKI ŻYWIOŁOWE

„R. 1622 morowa zaraza, która srodoze to miasto utrafiła. Przywieźli ją kupcy tureccy z towarami wschodnimi. Duma była oznaką powietrznego moru, który lubo nie trwał iak trzy miesiące, to jest od pierwszych dni października do ostatnich grudnia, wiele jednak ludu wypełnił, najwięcej z pospólstwa, które najmniej ostrożności mieć zwykło. Przebiegała śmierć po całym Jarosławiu i ostrą swą kosa dziesiątego prawie człowieka wymiołła. W samem mieście przeszło dwa tysiące od kosy tej padło.

Ledwie po tej kłęsce odechnął Jarosław, gdy znowu r. 1625 popadł w nieszczęście okropnego pożaru. W czasie wielkiego jarmarku, który od wniebowzięcia Naysy, P. się ciągnął w dzień S. Bartłomieja, z podłożenia przez złych ludzi iak mówiono, ognia, wszczęty pożar o pierwszej godzinie w nocy tak mieszkanców iako i obcych kupców o nieocenione straty przyprowadził.

KRÓLEWSKIE ODWIEDZINY

„Lecz roku 1390 gdy Władysław Jagiełło król wyprawa litewską był zajęty, Jadwiga żona, iak Kromer pisze drugie z Polaków zabrawszy wojska, Jarosław, Przemysł, Halicz, Grodek, Lwów, Trembowłę i inne miasta i zamki w Rusi południowej w moc swoją bierze. Slezaków i Węgrów wypędza, i w bitwie o mil dwie od Jarosławia pod Stubnem zwiedziony, na głowę ich poraża”.

„Często w tych dobach przesładywała rzeczona królowa, (Marysienka, żona Jana III Sobieskiego — przyp. red.), a we wsi po blizkiej Wysocku, gdzie nowy dom i ogród założyła, gdzie przetrwała, bawić niekiedy lubiła. Odwiedzał ją tu Jan III i w rozkosznej położeń Wysocka sobie podobał. Tu r. 1687 idącą za gra-

nię do wód odprowadzał, i kilka dni przepędził; tu 1691 w letniej porze wyteńbienia używał”.

Ścigając swego przeciwnika Augusta II Stanisław Leszczyński i se gany na przemian w Peikiniach, Jarosławiu i Wysocku, bawił tu czas nie iaki w pośród wojska szwedzkiego”.

„Bawił w Jarosławiu czas nieiaki August i dnia 4 sierpnia r. 1704 przyrmat do chrztu Jana Augusta Zaluskiego, kasztelana rawskiego i Ludwika z Wierzbowskich syna”.

„Król z gwardyą (Karol Gustaw król szwedzki. Przyp. red.) swą stanął w mieście, a resztę swego wojska w okolicach przyległych Jarosławia rozłożył”.

„Sam car rossyjski Piotr wielki tu pod zamkiem stał obozem roku 1711, a pamięć bytności swej w Jarosławiu zostawił w księgach metryki kolegiaty jarosławskiej trzymając do chrztu dziecie Józefa i Maryanny Gruszczyńców mieszczan jarosławskich”.

„Józef II cesarz, oglądał położenie jego, wchodził w przyczynę upadku i wyrokiem swoim r. 1774 co do swobód handlowych w najlepší uprzywilejowanymi miastami Galicji porównał”.

I W JAROSŁAWIU ZAPŁONAŁ STOS

„R. 1743. Pracowity Franciszek Koczay, blisko 50-letni, czyli oczarowany, czyli opętany od złego ducha, nigdy niechciał wymówić tych słów: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i oswem nie cierpił, aby ie drudzy mówili. Przed przyjazdem Sierakowskiego biskupa przemyskiego do Jarosławia na wieś się schronił, ale na doniesienie uczynione biskupowi przyprowadzony, namawiany był, aby wyrzekł wspomniane słowa, gdy przez czas nieiaki trwał w swym uporze, sadu jarosławskiego wyrokiem na spalenie był skazany i na gościeńcu pruchnickim za miastem na drodze rozstajnej za stoż żywo wrzucony, spalony został”.

PARĘ LICZB:

„Spis wowskowy urzędowo zrobion r. 1813. Ludność Jarosławia z przedmieściami okazuje: Domów iacznie 1.955 w tym samym mieście 216, leżących przedmieście 512. Krakowskie 148. Głębokie 179. Ogólna liczba ludności 9007. w tym żydów 2355, wowskowych 650”.

Przed III sesją Soboru Watykańskiego

Czy rzeczywiście reforma?

14 września rozpoczęła się w Rzymie III sesja Soboru Watykańskiego Drugiego. Do ostatnich tygodni nie wiadomo było, jaki będzie porządek dzienny tej sesji, czy przypadkiem nie zakończy ona Soboru. „Osservatore Romano” opublikował jeszcze niedawno obszerny artykuł dyrektora Soborowego Biura Pras, mons. Fausto Vallano, w którym zapowiedziano, że właśnie III sesja będzie ostatnią, „ponieważ Sobór wykonał już swoje główne zadania”. Wzmianka tego rodzaju, zamieszczona przez autorytatywny organ watykański, nie mogła zostać opublikowana bez aprobaty najwyższych czynników Stolicy Apostolskiej, z papieżem Pawłem VI włącznie. Wzbudziła ona wśród kół soborowych, a przede wszystkim tzw. reformistów, tym większe zdziwienie i zaniepokojenie, że dotychczasowy plan obrad soborowych jest dość niki.

Czyż nie chodziło tu o próbę zwykłego ograniczenia, zawężenia, spłykania i zubożenia dzieła soborowej reformy pod pretekstem, że czas nagli, że obradowano już tak długo?...

W konsekwencji niektórzy wybitni kardynałowie cudzoziemscy z krajów zachodnich wystąpili u papieża na rzecz dalszego normalnego toku prac soborowych, za nieskracaniem obrad Soboru. Z dalszych wypowiedzi samego Pawła VI i niektórych najwyższych osobistości watykańskich mogłoby wynikać, że projekt szybkiego zakończenia Soboru jeszcze podczas III sesji, wobec licznych i wpływowych sprzeciwów, zarzucono, i że wzmianka zawarta w artykule „Osservatore Romano” była jakby sondażem opinii kościelnej.

Przytoczyliśmy powyższy incydent, bo rzucił on jaskrawe światło na kulisy Vaticanum II, które wkracza w swoją III sesję. Odsłania kontrowersje ostre i gorące — powiedzieliśmy nawet — p o d s t a w o w e, jeżeli mąga dotyczyć sprawy tak zasadniczej i elementarnej jak to, co jeszcze powinno znaleźć się na soborowym warsztacie oraz, kiedy Sobór ma się zakończyć.

W zasadzie ustalono już z okazji Soboru niejedną reformę, przygotowaną niejedną korekturę polityki doktrynalnej Kościoła. Tak więc wiadomo z przebiegu II sesji Soboru oraz prac komisji, że reforma tradycyjnych struktur Kościoła katolickiego objąć ma cały centralny zarząd Kościoła. Winno być powołane centralne kolegium biskupów w

Rzymie, działające jakby rząd czy senat Kościoła przy boku papieża, ponad Kuria. Sama Kuria winna ulec modernizacji i internacjonalizacji. Kompetencje Episkopatu lokalnych miałyby być wydłużone, rozszerzone. Sekretariat Stanu byłby zreorganizowany i uwspółcześniony. Wszystko to wyzerpująco przedyskutowano, ustalono, zaprojektowano... Nie wiadomo jednak czy, kiedy i w jakim zakresie taka reforma organizacyjna będzie zrealizowana. Wszystko zapowiadało, że już pod koniec II sesji papież reformę tę ogłosi i wprowadzi w życie. Tak się jednak nie stało.

Także w innych sferach zagadnień doktrynalnej natury, np. w ustaleniu bardziej liberalnego stosunku do odmiennych ideologii, w uznaniu równorzędnej, samorodnej, zupełnie od Kościoła wydzielonej roli państwa, w szeregu nowych ujęć zagadnień eksplozji demograficznej, regulacji urodzeń, stosunku do twórców i kultury postulatów reformistycznej grupy krystalizujące się wokół tzw. „linii Jana XXIII” — podskórna, głucha i zaciekła opozycja wskazuje nie tylko na rosnące wewnętrzne trudności i przeciwności w łonie światowej hierarchii kościelnej, ale przede wszystkim kreśli znaki zapytania nad poszczególnymi wycinkami soborowej reformy.

Zdaniem wielu obserwatorów spraw watykańskich, kurs wytyczany przez papieża Pawła VI Kościołowi i Soborowi jest typowo centrystyczny. Chodzi o lawirowanie pomiędzy rafami, o wyważenie takiego wzajemnego stosunku sił pomiędzy różnymi tendencjami, grupami i interesami, by powstała jako tako trwała baza dla jakiegos cichego kompromisu. Charakterystyczny przykład dla tego typu wysiłków i poczyną stwarza obecny stosunek kierowniczych kół Kościoła katolickiego do obcych mu ideologii, a w szczególności do materializmu, komunizmu i socjalizmu. Projekt schematu 17-go „O miejscu Kościoła w świecie dzisiejszym”, który stanie się prawdopodobnie główną treścią obrad III sesji, jak się wydaje, zgodnie z postulatami cykliki „Pacem in terris” oraz naukami Jana XXIII, nie ustala agresywnych formuł potępienia i zimnej wojny wobec ideologii ruchu robotniczego oraz świata socjalistycznego. Jednak równolegle przygotowywany być może odrębny specjalny dokument antykomunistyczny, w gwałtowny sposób potępiający marksizm, komu-

nizm i socjalizm. Wniosek taki w sposób całkowicie formalny złożyło w ostatnim okresie II sesji 200 biskupów z 40 różnych krajów świata. Wnioskowi temu — jak się wydaje — nadano dalszy bieg roboczy... Czyż trzeba dodawać, że o ile taki dokument będzie rzeczywiście uchwalony, to schemat 17-ty, nawet opracowany zgodnie z linią Jana XXIII, pozabawiony zostanie ipso facto swego doniosłego znaczenia? Jeżeli tak i e będą kompromisy końcowych faz Vaticanum II, trudno uwierzyć, by reforma współczesnego Kościoła katolickiego przyniosła istotne zmiany.

Oczywiście, nie uprzedzamy faktów i wyrażamy tylko wątpliwości uprzednio już sformułowane znacznie bardziej drastycznie i konkretnie przez wielu katolickich teologów i dostojników kościelnych. Zainteresowanie Soborem Kościoła katolickiego także ze strony ludzi niewierzących i wyznających odmienne poglądy pozostaje z różnych względów nadal duże. Po pierwsze, chodzi tu o fakt o niemałym międzynarodowym znaczeniu — fakt niezwykle doniosły dla wyznawców religii rzymsko-katolickiej, z którymi przecież na całym świecie niewierzący pozostają w codziennym styku i współdziałaniu. Po drugie, Kościół katolicki epoki Jana XXIII wezwał wszystkich ludzi dobrej woli, by zainteresowali się dziełem jego soborowej reformy.

Zainteresowanie ludzi odmiennych ideologii sprawami wewnętrznymi Kościoła posiada jednak swoje określone pobudki i — powiedzmy szczerze — wyraźne granice. Chodzi o to właśnie, w jakim ogólnym kierunku zmierza Kościół, o ile jego reformy zbliżają go do najbardziej palących potrzeb i bolączek współczesnego świata, w jakim stopniu Sobór Watykański Drugi potwierdził naukę Jana XXIII o „ponadnarodowej neutralności Kościoła” w świecie podzielonym na dwa współzawodniczące ze sobą systemy społeczne, w którym idee socjalizmu przemawiają coraz wyraźniej i silniej. Kościół pontyfikatu Pawła VI zdaje się być wstrząsany potężnymi przeciwnościami. Jest przeciwnostwem monolitu epoki Piusa XII. Znajduje się w poszukiwaniu orientacji, która by gorzej czy lepiej poprowadziła go na przeciw XXI stulecia. Dodać wypada, że w tym wypadku owo „gorzej czy lepiej” oznaczać będzie dla Kościoła wiele, bardzo wiele...

IGNACY KRASICKI

„Dzień dobry Polsko!”

Taki tytuł nosi książka — album wydany w 50 tys. nakładzie w języku rosyjskim w Moskwie, opracowana przez redakcję „Trybuny Ludu” i „Prawdy”. Wydawnictwo to wychodzi na spotkanie wielkiemu zainteresowaniu Polską w Związku Radzieckim i w syntetycznym skrócie daje radzieckim czytelnikom obraz dzisiejszej Polski, obchodzącej swoje 20-lecie.

Książkę — album otwiera obszerny fragment referatu sprawozdawczego Władysława Gomułki na IV Zjeździe partii. W siedmiu rozdziałach, poszczególnie dziedzin życia współczesnej Polski omawiają kolejno w publicystycznych

artykułach — S. Jędrzychowski, M. Jagielski, A. Rapański, Z. Kłiszko, M. Spychalski, Cz. Wycech, W. Kraso.

„Dzień dobry, Polsko!” zawiera też reportaże polskich i radzieckich dziennikarzy, felietony literackie, humoreski, reprodukcję polskiej grafiki, wykresy i zdjęcia. Są też wiersze Broniewskiego, Tuwima, Gałczyńskiego i Iwaszkiewicza w przekładach poetów radzieckich, a także wiersze Maksyma Tanka i Maksyma Rylskiego: książka zawiera ponadto fragmenty sztuki Kruczkowskiego oraz artykuły Putramenta, Surkowa, Gulii i in.



Wyremontowana synagoga w Lesku — siedziba muzeum regionalnego i Oddziału PTTK.

Fot. ZDZISŁAW POSTĘPSKI

FILMOWY „PIERWSZY DZIEŃ WOLNOŚCI”

1 sierpnia br. minęła artystyczna — najwyższa — wartość jego książek druga rocznica śmierci formą jego społecznej i sztuk, wiecznie żywy Leona Kruczkowskiego, działalności. Stąd jego oddźwięk, jaki wzbudza znakomitego pisarza i wysoka ranga pisarza ją oraz zainteresowanie, działacza. Bezpośrednia w służbie człowieka i z jakim oczekiwanym jest działalność społeczna Leona Kruczkowskiego by- wielkim nurcie naszego teatralnej „Pierwszy dzień wolności” film reżysero- twórczości, a twórczość twa. Stąd nieprzemijają- wany przez A. Forda.

Jest gdzieś w powiecie waleckim miasteczko, które ma być podobno pierwowzorem miejsca akcji „Pierwszego dnia wolności” Leona Kruczkowskiego. Wszelkie realia zanotowane w tej sztuce mają swoje odpowiedniki w topografii i historii miasteczka: jest dom, w którym mieszkał doktor Kroll z trzema córkami, jest kościół i wieża, z której strzela sceniczna Inga. W okolicy istniał też oślag dla oficerów, a uwolniony też pisarz spędził miał w miasteczku swe pierwsze dni wolności.

Tyle mówi tradycja. Sztuka Leona Kruczkowskiego powstała parę lat później. Pamiętamy jej prapremierowe przedstawienie na scenie Teatru Współczesnego w Warszawie, triumfalny pochód przez sceny całego kraju, a nawet prezentację w paryskim Teatrze Narodów. Wystawiona też była w radiu i telewizji, a ostatnio reż. Aleksander Ford zrealizował film oparty na dramacie Leona Kruczkowskiego.

„Pierwszy dzień wolności” pozostał więc pozycją ciągle żywą, choć już klasyczna w repertuarze naszych scen. Zasługa to pewnie spraw, o których sztuka mówi: nieprzemijających. Choć akcja rozgrywa się w tym jednym dniu, na pograniczu wojny i pokoju — jej tematyki nie można przecież uznać za specyficznie wojenną. Problemem szerszym, nadal i wciąż aktualnym, jest sprawa wyboru postaw — zatem wolności osobistej i godności człowieka.

Głębokie treści filozoficzne i humanistyczne tkwiące i w tej sztuce Leona Kruczkowskiego — podobnie jak w całej reszcie jego twórczości — obok przekonania, że filmowy kształt tej sztuki może być interesujący — zaważyły właśnie na decyzji przeniesienia dramatu Kruczkowskiego na ekran.

— Nie ulega wątpliwości — powiedział reżyser Aleksander Ford — że adaptacja tekstu napisanego dla sceny następcą scenarzysty i realizatorowi filmu dodatkowe trudności. Nadanie kształtu filmowego niesie ze sobą trudności oderwania się od formy scenicznej. To, co robimy, nie jest przecież ekranizacją w sensie dosłownego przeniesienia dramatu scenicznego na taśmę filmową, lecz

próba znalezienia nowej formy, najwłaściwszego kształtu filmowego dla treści w sztuce określonych.

Jest to zagadnienie ogromnie interesujące: sztuka Kruczkowskiego jest sztuką głęboką, jej odczytywanie sprawia satysfakcję. Sądząc więc, że będzie odczytywana jeszcze nieraz. Treści, które zawiera, są nadal aktualne. Przecież wciąż istotne są dla nas problemy odpowiedzialności indywidualnej, w warunkach, gdy człowiek zdany jest tylko na siebie: nie może posługiwać się ogólnymi normami, nie stoi za nim prawo ani aparat państwowy, który to prawo stosuje. W „Pierwszym dniu wolności”, każdy sam sobie tworzy normy postępowania, sam siebie kontroluje i jest odpowiedzialny wobec siebie samego.

Ale to nie jedyny powód mojego zainteresowania dramatem Kruczkowskiego. Znalezienie dla tej sztuki właściwego kształtu filmowego jest zadaniem interesującym formalnie: dramatycznie, warsztatowo. Jest to zadanie ryzykowne, ale też — jak zawsze — to właśnie mnie pociąga.

Istnieje w waleckim powiecie miasteczko, które stanowić miało pierwowzór miejsca akcji przedstawionej w „Pierwszym dniu wolności” Leona Kruczkowskiego. Ale każda sztuka rządzi się własnymi prawami — film także. Dlatego też dla filmowców obojętne były dokumentalne związki tego miejsca z fikcją dramatu. Dla realizowania zdjęć w plenerze wybrali zupełnie inne miasteczko — Bystrzycę Kłodzką na Dolnym Śląsku. Ekipa filmowa przebywała tam wiosną. Zdjęcia realizowano na malowniczych starzych uliczkach, w wąskich przejściach pomiędzy domami, na tajemniczych schodkach. Bystrzycą przeżywała wówczas dni emocji. Reżyser Aleksander Ford skompletował przecież obsadę nader interesującą i bliską sercom miłośników filmu i aktorstwa. W roli Jana wystąpił Tadeusz Łomnicki, pamiętny z prapremierowego przedstawienia w teatrze warszawskim. Inga jest Beata Tyszkiewicz. Luzzi — Elżbieta Czyżewska. Rolę ich ojca, niemieckiego lekarza, gra Ta-

deusz Fijewski, polskich oficerów zaś, którzy opuścili oślag: Ryszard Barycz, Krzysztof Chamiec, Roman Kłosowski, Zdzisław Leśniak i Mięczyński Stoor. Scenariusz opracował Bohdan Czeszko. Producentem filmu jest zespół Studio.

W Bystrzycy Kłodzkiej filmowcy nie bawili długo. „Pierwszy dzień wolności” ma być filmem psychologicznym, kameralnym... „Jeżeli ma z tego wynikać jakaś epika, to chyba tylko epika uczuć, problemów — nie zaś akcji wojennej” — powiedział reż. Ford. Toteż film realizowany był głównie w atelier. Jeszcze niedawno — w wytwórni na Chełmskiej w Warszawie spotkać było można aktorów w wojskowych szynelach i panie — w strojach z wczesnych lat czterdziestych. Odpoczywali w przerwach zdjęć przy kawie. Zapewne zaskutecznie. Reżyser Aleksander Ford znany jest przecież z ogromnej precyzji w pracy, ale i dużych wymagań, jakie stawia swym współpracownikom.

Na filmowy „Pierwszy dzień wolności” czeka się z dużym zainteresowaniem. Z zainteresowaniem dla filmowego kształtu historii Jana i Ingi, którzy reprezentowali tak odległe sobie światy, jak odległa jest przeszłość od przyszłości.

ELŻBIETA
SMOLEŃ-WASILEWSKA

Nowa ortografia języka rosyjskiego

Specjalna komisja Akademii Nauk ZSRR opracowała projekt zmian w pisowni rosyjskiej. W skład komisji, której przewodniczył członek Akademii Nauk, wybitny lingwista, W. Winogradow, wchodziły nauczyciele, psycholodzy, filolodzy, pracownicy oświaty. Dyskusje toczyły się również na łamach prasy i trwały prawie cztery lata.

Professor Uniwersytetu Moskiewskiego, A. Jefimow, pisze na łamach „Izwiestii”, że proponowane zmiany znacznie uproszczą ortografię rosyjską, eliminując szereg przestarzałych, skomplikowanych prawideł.

— Jak to?

— Pytam: dla kogo? Bo wtedy będzie można odpowiedzieć na pytanie: za jaką cenę? Czy jest ona opłacalna?

Mur... Nie przebiega go. Ci ludzie siedzą za przeźroczystym murem. Widzi ich dobrze, słyszy nawet głosy. Sens tylko nie dociera do niego. Jakby mówili innymi językami. Wszystko odbija się od tego muru. — Nie ma pojęcia „za wszelką cenę”. Tylko dla ludzi. Dla konkretnych, pracujących w zakładzie, mieszkających obok w mieście czy wiosce. Każdy z nich jest współgospodarzem tego zakładu.

„Gdyby nie było strażników „współgospodarze” wynieśliby kombinat do domów. Jeszcze niedawno nie można było nastarczyć klamek do drzwi. A anteny telewizyjne, a inne „fuchy”? Żarówki, przewody, wyłączniki, kawałki kabli? Gdyby nie pilnowali, nie popędzali, czy wykonano by najmniejszą rzecz?

I głośno:

— Popatrzcie kogo mam w brzdach. Chłop wczoraj znalazł tylko plug i broń, dziś porusza się w nowoczesnym zakładzie. Stąd też wypadki. Trzeba lat, żeby uformować techniczny sposób myślenia, wdrożyć do dyscypliny, nauczyć porządku. Trzeba karać, wyrzucać z roboty. A tu zaraz związki, interwencje. Dobry człowiek, biedny człowiek, tysiąc dobrych wujciów. Muszą więc być wypadki.

Sekretarz:

(Ciąg dalszy na str. 4)



Schody uliczne w Gorlicach.

Fot. Z. POSTĘPSKI

W 20 rocznicę bitwy pod Studziankami

(Ciąg dalszy ze str. 1)

ski korytarz. W południe 13 sierpnia rozgorzały ciężkie 5-godzinne walki o wieś, cegielnię i folwark. 14 sierpnia, w wyniku skoncentrowanych, wielokrotnych ataków piechoty radzieckiej, polskiej oraz czołgów — Studzianki zostały zdobyte. Od momentu zdobycia Studzianek w dniu 14 sierpnia bitwa o przyczółek wkracza w końcową fazę. Pierścien okrążenia wokół hitlerowców zostaje zamknięty. Następnego dnia trwa likwidacja odciętego zgrupowania przeciwnika.

W bitwie pod Studziankami stoczonej przed 20 laty Niemcy zostali powstrzymani, okrążeni i zniszczeni przez piechurów IV korpusu gwardii i żołnierzy I brygady pancernej im. Bohaterów Westerplatte. Brygada zadala hitlerowcom

straty 6-krotnie większe od własnych — licząc w ludziach, dwukrotnie — w czołgach i działach pancernych. O tym, jak walczyli wówczas polscy pancerni husarze, mówił gen. Wasył Czujkow: „Bili się jak gwardziści, jak stalingradczyści”. Ale bitwa ta ma również wagę innego rodzaju — była bitwą o Warszawę. Toczoną w odległości 70 km od stolicy, nie pozwoliła hitlerowcom na rzucenie w sierpniu ani jednej dywizji przeciwko powstańcom. Pod Studziankami ocalony został przyczółek, z którego w styczniu 1945 r. ruszyło do natarcia pięć armii ogólnowojskowych i dwie armie pancerne. W trzecim dniu wyzwoliły one Warszawę, w piątym — Łódź, w jedenaście — Bydgoszcz, a po 17 dniach uchwyciły za Odrą podberlińskie przyczółki.

plk. JANUSZ PRZYMANOWSKI

Człowiek przy oknie zdusił papierosa w popielniczkę i sięgnął zaraz po nowego. W przelocie zaważdził wzrokiem o zegarek. Pięta. Dobrze, że w domu nie ma nikogo. Może siedzieć tak w mroku i nikomu nie pokazywać swej twarzy. Potem... Potem będzie inaczej. Opanuje się. Teraz są myśli. Nadchodzą stadami, atakują szare, mroźne komórki. Myśli ciężkie, złe, myśli szukające odpowiedzi, nie zadowalające się byle czym... Komu wiele dano od tego się wiele wymaga. Zdanie to natrętnie wraca, przypomina dzień wczorajszy i dzisiejszy. Przypomina to wszystko, o czym nie powiedział ludziom...

Dużo by dał za to, żeby wróciła chwila tuż przed tym telefonem. Odezwał się grubo wcześniej niż budzik, wtedy gdy leżał senny, oczekujący nowego zapadnięcia się w nieświadomość, ucieczony tym, że to jeszcze dużo czasu. Najpierw coś w nim zachrobotało, zabulgotało, potem rozdzwiewał się dzwonek. Sięgnął ręką.

— Słucham...
— Panie inżynierze, wypadek na przenośnikach. Został zgnieciony człowiek z brygady remontowej, niejaki Kulas...

— Co już zrobiono? — pytał, wstając i nogami szukając pantofli.
— Zawiadomiono kogo trzeba. Samochód po pana już wyjeżdża.

— Dobrze...
— Czas pęki na części. Jedną to ta przed... Teraz biegnie druga. Nieodwracalnie układają się minuty, potem godziny. Te „po”... Cały dzień słuchał, chodził, przglądał się, dawał dyspozycje, podpisywał papiery. Cały ciężki dzień... Tkwiła w nim myśl o nieodwracalności czasu i zdarzeń...

Dyrektor wysłuchał sprawozdania nie przerywając, swoim zwyczajem, ani razu. Tylko coś tam notował na leżącej przed nim kartce.

— To wszystko?
— Tak jest.
— Nic więcej nie ma pan, inżynierze, do powiedzenia?
— Nic...
— Wdowę pan pojedzie zawiadomić.
— Ja?
— Tak, pan.
— Przecież...
— Nie, tu nie ma dyskusji — dyrektor mówił wolno, nieco rozciągając słowa. Muszę nauczyć was czerwienić się. Czerwienić się przed ludźmi, stawać przed nimi i odpowiadać za swe czyny.

JAN ŁYSAKOWSKI

WŁADZA

Słuchał z opuszczoną głową. To spadło zbyt nagle.
— Jak się nazywa zabity?
— Kulas Antoni.
— Gdzie mieszka?
— W Baranowie.
— Ile ma dzieci?
— Nie wiem.
— Nie wie pan? — zabrzmięło to ironicznie. — Pewnie, co to pana obchodzi. Zginął człowiek i koniec. Zakład da zapomógę, orkiestrę na pogrzeb i sprawa załatwiona. Przyjmie się drugiego. Spokój do następnego razu.

Gdy doszedł do biura zadzwonił telefon.

— Słucham...
— Towarzyszu inżynierze, jesteście proszeni jutro do Komitetu Powiatowego.

— Potem ta rozmowa... Przybliżyła twarz do okna. W odbłasku światła sąsiednich domów szukał jakby

cenienia zdarzeń przeżytych, słów, okreseń. Szukał tej racji, która przed tym wydawała się być niewzruszona, a potem pękła jak mydlana bańka.

— Ten głos. Człowiek za biurkiem mówił wolno, z namysłem:

— Komu wiele dano, od tego się dużo wymaga. Wam inżynierze wiele dano.

Szeroka ręka, rozwarłe palce. Zaginał je po kolei.

— Wykształcenie, to raz... Stanowisko, dwa... Zarobki, to trzy...

Buntuje się. Nie, racja jest inna. Wy, politycy wszystko widzicie inaczej. Jestem, jak sami mówicie, jak

głosicie w gazetach, oficerem przemysłu. Kazaliście nam stworzyć przemysł. Budujemy go z niczego, od podstaw. Chwalicie nas, pokazujecie wszystkim jako przykład. Przy tysiącu okazji mówicie o nas, o produkcji jak o czymś najważniejszym. A czy chociaż wiecie co to jest? Wy tu radzicie, dyskutujecie godzinami. Potem podejmujecie uchwały. Kto je wykonuje? My. Sól przemysłu, jego kregosłup. Umiecie stawiać zadania; tu, na tej gołej, porzniętej miedziami ziemi, wśród słomianych strzech wiosek zabitych deskami ma stanąć zakład. Od tysiąca lat orano tu ziemię, od tysiąca lat nie się tu nie działa. Ludzie widzą tylko swe małe spłachetki pola, chudego konika i krowy. Cni mają być tą klasą robotniczą? Wolne żarty. Dajcie działać nam, dajcie działać prawom ekonomicznym, technice. Zbudujemy,

nauczmy ludzi roboty, a potem możecie ich wychowywać. Na razie liczy się czyn, nie gadanie. Wydaje się wam, że to wy jesteście motorem wszystkiego. Tymczasem ta ziemia spała. Przyszli ludzie uczeni, znaleźli skarb, siarkę. Teraz jest nasz czas, czas inżynierów. Polityka nie ruszy maszyn, nie da produkcji. Tu trzeba twardo. Wypominacie nam nasze dyplomy. Zdobylaliśmy je w trudzie. Teraz one dają nam prawo przewodzenia.

Człowiek za biurkiem ma ciężkie spojrzenie. Odsuwa na bok plik papierów, protokołów. Mówi powoli, jakby kładąc na wagę każde słowo:

— Papiery to ważna rzecz. Ale odłożymy je na chwilę na bok i popatrzymy z innej strony. Bo czasem zdarza się tak, że w kołowym spraw codziennych zapominamy o tym, co najważniejsze.

Teraz on:

— Nie można patrzeć na świat przez pryzmat pobożnych życzeń. Zawsze istnieje cena, która trzeba zapłacić. I czas, który musi upłynąć. Nie jestem cudotwórcą, lecz inżynierem. Nie potrafię przeskoczyć etapów rozwoju. Musimy płacić taką cenę, jaka jest.

— Musimy? — sekretarz zwierza palce, kładzie pięści na biurko.

— Tak — teraz jest pewniejszy siebie. Powie im nareszcie to co trzeba, żeby wiedzieli — przemysł ma swoje prawa. Czasem o nich zapominamy. Tu trzeba patrzeć przez pryzmat produkcji...

— Dla kogo?

Na wprost

Cena demokracji

Opowiem historię prawdziwą. W pewnym domu jest mechaniczna pralnia do użytku lokatorów. Dom stoi od 1949 roku, pralnia pracuje trzy razy w tygodniu. Nic więc dziwnego, że się zużywa. Od wielu już lat pralnia hałasuje, stuka, popiskuje, dzwoni, buczy. Ale chodzi. Zna dozorcę pierze tam bieliznę wielu lokatorów ma z tego niezłe dochody; nie jej pralnia „domowa”, znaczny administracji, niech się sobie zdrowo zużywa. A znów administracja myśli: nie jej pralnia, „domowa”, dla lokatorów, póki chodzi to chodzi, niech się sobie zdrowo zużywa. A lokatorzy: nie ich pralnia, państwowa, niech sobie chodzi. Tylko się trochę na hałas skarżą.

Przed kilku miesiącami sprowadził się do domu nowy lokator ze strasznie pyskłą żoną i małym dzieckiem. Zajął lokal na parterze, nad pralnią. Dziecko spać nie może, żona w krzyk. Sami z pralni nie korzystają, piorą na mieście, co im tam będzie turkotać! Nowy, energiczny lokator popędził z żoną do administracji: zamknąć pralnię!

Administracji wszystko jedno, zamknąć to zamknąć. Zamknęli. Na to dozorczyńi do ludzi: — Pracę nie mogę, ta cholera z dołu zamknąć kazala, hałas jej przeszkadza, hrabina, a wy w brudach chodzicie. Oburzyli się lokatorzy, pędzą do administracji. Administracji wszystko jedno, otworzyć to otworzyć. Otworzyli. Nowy lokator nie w ciemie bity, człek oblatany. Biegiem do San-epidu. Przyszli, z takim aparacikiem mierzyli, mierzyli. Decybeli, orzekli, za dużo. Zamknąć. Administracji wszystko jedno, zamknąć, to zamknąć. Zamknęli. Lokatorzy brudni chodzą, dozorczyńi lamentuje, komieć światła przepowiadają, jak taka cholera wbrew wiekzności rzadzić się będzie. Wreszcie jedna lokatorka

wybrała się do komitetu blokowego. Komitet westchnął i rad nieraż zwołał zebranie lokatorów na schodach. Ależ sobie skakali do oczu: zamknąć, otworzyć, zamknąć... decybele, otworzyć, brudy, ty małpo, ty idiotko...

— No to jak, proszę państwa — zapytał gość z administracji. — Mnie tam wszystko jedno, ale pieczęć jest. Otworzyć nie mogę. Pieniędzy na remont nie mam. Nieprzewidziane w planie.

Westchnęli lokatorzy, uchwalili składowe. Przyszli, zrobili. Pralnia chodzi. Cicho, grzecznie, nie hałasuje. Dozorczyńi pierze, dziecko śpi.

Oto i macie — życie i politykę. Każdy myślał najpierw tylko o sobie: zamknąć, otworzyć, tak źle, tak niedobrze. Ze starcia sprzecznych interesów, dzięki rozsądnym prawom San-epidu i demokratycznemu mechanizmowi zebrania na schodach zrodził się — postęp. A że wielu lokatorów przestało się sobie kłaniać? Cóż — cena demokracji: im dłużej zapomnianej, tym wyższa.

Ki Wi

Konkurs „Człowiek i jego praca w 20-leciu PRL” — rozstrzygnięty

8 sierpnia br. odbyło się posiedzenie komisji oceniającej prace nadesłane na konkurs plastyczny i fotograficzny pt. „Człowiek i jego praca w 20-leciu PRL”, ogłoszony przez Wojewódzką Komisję Związków Zawodowych w Rzeszowie. Komisja w składzie: Adolf Jakubowicz (ZPAP) — przewodniczący oraz członkowie: Cezary Kotowicz — dyr. Biura Wystaw Artystycznych, inż. Marian Cierpiat — sekretarz WKZZ i Stanisław Gliwa — instruktor k. o. WKZZ oceniła poszczególne prace i zakwalifikowała na wystawę, która zostanie zorganizowana we wrześniu w DK WSK Rzeszów.

Na konkurs w dziale malarstwa 11 autorów nadesłało 69 prac. Na wystawę zakwalifikowano 22. Komisja postanowiła przyznać nagrody następującym autorom:

I — Alfredowi Długoszowi z Gorlic za pracę pt. „Nočna zmiana” (tytuły prac podajemy w nawiasach), II — Franciszkowi Świdrowi z Rzeszowa („Zniwa”), III — Lucynie Glemza — Kasperkiewicz ze Zręczina, pow. Krosno („Społeczny Czyn 20-lecia”).

Ponadto przyznano cztery rów-

norzędne wyróżnienia: Janinie Jakubickowej z Łańcuta („Kwiaty 20-lecia”), Tadeuszowi Przywarze z Mielca („Budowa”), Wandzie Leśniak — Federkiewicz z Krosna („Na budowie”) oraz Jadwidze Wyzwicz z Przemyśla („Tokarz”).

W dziale grafiki na konkurs 3 autorów nadesłało 33 prace, z których na wystawę zakwalifikowano 16. I nagrodę komisja przyznała Ryszardowi Czechakowi z Rzeszowa za cykl linorytów (II i III nagrody nie przyznano).

W dziale rzeźby pięciu autorów nadesłało 15 prac, z których na wystawę zakwalifikowano 12. I nagrodę („Zamówienie na traktor”) otrzymał Franciszek Świder z Rzeszowa, II nagrodę — Janina Leśniakowska z Dębicy („Wyścig pokon”), III — Tadeusz Przywara z Mielca („Pierwszy dzień wolności”).

Do konkursu w dziale fotografii 6 autorów nadesłało 115 fotografii, z których na wystawę zakwalifikowano 35. I nagrodę otrzymał Józef Świnder z Gorlic za pracę pt. „Bieszczady — Zatrważnica”, II — Jacek Fiseher z Rzeszowa („Drogi nr 1, 2 i 3”), III nagrodę otrzymał Włodzimierz Ciesla z Rzeszowa za cykl fotografii pt. „Orkiestra kolejowa”, „MPO w akcji” i „Pojeździe czy nie pojeździe”. Ponadto komisja przyznała 5 wyróżnień: Zdzisławowi Postępskiemu z Rzeszowa za pracę pt. „Drwal” i „Jesienny ślew” (dwa wyróżnienia), Jerzemu Zakowi z Rzeszowa („W oparach asfaltowej ulicy”), Jackowi Fischerowi z Rzeszowa („Budowa nr 4”), Janowi Słodzińskiemu z Rzeszowa („Przedwiośnie”).

STANSKI

Jeszcze dziś pamiętam, że nosiła króciutkie paletko w kratę. Miała ciągle podniesione brwi. Błękitne oczy. I miękkie, całe w złotych lokach włosy...

Właśnie taką wspominam z największą przyjemnością. A paletko było tak króciutkie, że widać było okrągłe, pulchne nóżki daleko nad kolanami i nawet gumki z guzickami, na których trzymały się brązowe pończochy w prążki.

Oboje mieliśmy po 7 lat i siedzieliśmy na jednej ławce w klasie I, szkoły nr 27 w sieradzowskiej dzielnicy Moskwy.

Tak, we wrześniu 1930 roku zakochałem się po raz pierwszy. Co prawda, nie znaczy to, że później nie zakochałem się. W piątej klasie — Majka Prajnis, w ósmej — Szuroczka Lenkowa, w dziewiątej — Szuroczka Lenkowa i w dziesiątej — również Szuroczka Lenkowa...

Ale bądź co bądź Alla Kirkiewicz to — wiecie — było najsilniejsze uczucie. Przyszedłem do szkoły tylko dla niej. Na lekcjach patrzyłem tylko na nią, a ona — tylko na usta Jewlany Benjaminowny.

Nasza nauczycielka nazywała się Jewlana Benjaminowna, co już samo było trudniejsze do zapamiętania niż to, co zadawała do domu. Dziś być może nie wydałabym mi się tak sędziwą, ale wówczas nawet moja babcia wyglądała znacznie młodziej.

Możliwe, że niezupełnie dokładnie, ale pamiętam Jewlanę Benjaminownę właśnie tak: pulchna kobieta z mnóstwem dużych i małych zmarszczek, jakiego nie spotykałem nigdy nawet u kilku starszych osób na raz. Miała wijące się włosy podobne jak Alla Kirkiewicz, tylko zupełnie białe. No i na twarzy Ally nie było wąsów i baczek, a Jewlana Benjaminowna miała jedno i drugie.

Gdybym miał wówczas — tak jak dziś — 41 lat, prawdopodobnie zacząłbym rozmyślać nad tym, co może zrobić z człowieka czas... I jaka będzie Alla Kirkiewicz kiedy skończy 70 lat, a na twarzy pokaza się jej wąsy i trochę brodawek? Ale wtedy do głowy mi to nie przychodziło.

— Ala ma ko-ta — chórem sy-labizowała klasa Ia, a mnie ta Ala

z kotem, wcale nie obchodziła — patrzyłem tylko na Allę Kirkiewicz.

Miłość wołała o czyni, toteż otworzyłem nowitutki zeszyt w kratkę i odsunąłem na bok bibułę.

— W rze-ce wo-da, a w le-sie lis...

JAKUB SEGEL

ALLA

Moi rówieśnicy siedmiomilowymi krokami wędrowali po świecie, gdy zacząłem rysować Allę Kirkiewicz.

Najłatwiej — zdawało mi się — narysować włosy. Po prostu miał obowiązek różne zawijasy i luz. Głowa i nos udały się także od razu, w natchnieniu. Usta trzeba było jednak trochę poprawiać. I podobnie wyszedł też nie za pierwszym razem.

Dziś, kiedy mam już ponad czterdziestkę, muszę mieć podczas pracy absolutną ciszę. Na przykład nie mogę skupić się, jeśli słyszę jak nad nami grają Beethovena. Co to za praca! Wpływają na mnie i nawet poruszają wargami, starając się pomóc niewidocznemu muzykowi. „Ta tam... ta ra tam...” śpiewam szeptem. Ta melodia towarzyszy mi już od ponad 3 lat. Pierwszy raz usłyszałem ją, kiedy sprowadziliśmy się wszyscy do tego nowo zbudowanego domu.

— Utalentowane dziecko zamieszkało nad nami — pomyślałem wówczas. Teraz mogę z przekonaniem stwierdzić, że kupno pianina przez sąsiadów było wyrzuceniem pieniędzy na wiatr.

Najbardziej zaś przeszkadza mi, kiedy wszyscy domownicy, starając się nie przerywać mojej pracy, zaczynają mówić szeptem. Ale wówczas nic nie było w stanie przeszk-

Zdarzenia
tygodnia

Zespół Pieśni i Tańca mieleckiego Domu Kultury „Rzeszowiacy” wyjadł na występy do Węgierskiej Republiki Ludowej.

„Rzeszowiacy” zaprezentują swój program w Győr, Budapeszcie i Donaunolwaros. Będzie to rewizyta. W Mielcu niedawno przebywał zespół pieśni i tańca z Győr.

W witrynach Biblioteki Dziecięcej w Rzeszowie otwarto ekspozycję, obrazującą rozwój bibliotekarstwa powszechnego na Rzeszowszczyźnie w latach 1948 — 1964. Plansze przedstawiają m. in. rozwój sieci bibliotecznej, wzrost księgozbioru i czytelnielstwa.

Wojewódzki Dom Kultury wspólnie z Zarządem Okręgu ZNP w Rzeszowie zorganizował kurs kulturalno-oświatowy dla nauczycieli, mający na celu przysposobienie absolwentów zakładów kształcenia nauczycieli do pracy kulturalno-oświatowej w środowisku wiejskim i małych miasteczkach. 25 uczestników podczas 3-tygodniowych zajęć zapozna się z założeniami prac kulturalno-oświatowych według programu opracowanego przez Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Wydział Kultury Prezydium WRN w Rzeszowie wydał ostatnio zezwolenie zespołowi „Lutnia” z Międzyzdrozkiego Okręgu Kulturalno-Oświatowego. W Przemyslu na występy na terenie woj. rzeszowskiego.

Zespół odwiedził Krosno, Korczynę, Jasło, Gorlice, Ustrzyki, Sarzynę i Stalowa Wola, gdzie wystąpił z przygotowaną niedawno operetką „Panna wodna” — Jerzego Ławiny-Swiętochowskiego.

Teatr żywego słowa „Meluzyna” ZDK WSK w Rzeszowie przygotowuje kolejny program, tj. „Nike i słowik” Juliana Przybosa. Premiera odbędzie się we wrześniu w miejscu urodzin poety — w Gwoźnicy Górnej w pow. strzyżowski.

Na zajęcia Studium Teatralnego Centralnego Poradni Amatorskiego Ruchu w Krakowie wyjechała grupa instruktorów i działaczy teatralnych Rzeszowszczyzny, którzy przygotują się do prowadzenia działalności na amatorskim ruchu.

kodzieć mi w rysowaniu Ally Kirkiewicz.

Już Ala dała kotu mleczka, a lis opuszcł las, gdy portret był prawie gotów. I nagle Alla Kirkiewicz podniosła rękę:

— Jewlana Benjaminowna! (pierwsza w klasie nauczyła się tego imienia).

— Jewlana Benjaminowna! Nastąpiła cisza. Jewlana Benjaminowna pochyliła głowę i spojrzała na Allę znając okularów. Ala popatrzyła na mnie z ukosa i rzekła dziwnie:

— Segel Puszkina narysował! Teraz... Teraz wszyscy poznają moją tajemnicę. A potem dowie się o niej mama. Nie odcę mógł chodzić więcej do szkoły. Nie będę mógł dalej żyć. Wszysko skonczono! A może uciec z domu, zostać chłopcem okrętowym, a potem kapitanem statku? A za kilka lat przyjechać na urlop i przyjść do szkoły w kapitańskim mundurze i z fajką w zębach...

Jewlana Benjaminowna długo oglądała mój rysunek. Tęczała go w prawej ręce, a lewą dłoń położyła na mojej głowie. Wydawało mi się, że minął cały rok, gdy wreszcie powiedziała:

— Rzeczywiście bardzo podobny do Aleksandra Siergiejewicza Puszkina. I pokazała wszystkim moją Allę Kirkiewicz.

— Dzieci okazuje się, że Segel to artysta. Musimy wybrać go na redaktora gazetki ściennej.

Mądra staruszka. Będę ją pamiętać całe życie.

Tego dnia po powrocie do domu zacząłem uczyć się rysunku. Rysowałem tylko Puszkina. Dziesięć, sto, tysiąc razy — i nauczyłem się. Byłem redaktorem tej gazetki ściennej do dziesiątej klasy. Na froncie redagowałem ulotki. Pracowałem w gazecie studenckiej. I o mało co nie zostałem artystą...

Alla Kirkiewicz powinna mieć dziś tak jak i ja czterdzieści jeden lat i jeśli nawet włosy jej pojaśniały to wąsy i baki nieprędko jeszcze jej wyrosną. I już dokładnie nie pamiętam jaka ona jest... A Puszkina mogę narysować choćby zaraz. Nawet z zamkniętymi oczyma.

Spolszczył: W. SZYMCHYK

Michał Anioł
na ekranie

Znany reżyser angielski Carol Reed przenosi na ekran książkę Irvinga Stone'a „Kamień i cierpienie” — opowieść o wielkim malarzu i rzeźbiarzu włoskim Michał Aniele Buonarrotim.

W roli Michała Anioła występuje znany aktor amerykański Charlton Heston, rolę papieża odtwarza Rex Harrison.

WŁADZA

(Ciąg dalszy ze str. 3)

— Muszą? Nauczycielcie się mówić dziwnym językiem. Uważacie, że jest to język nowoczesnego przemysłu, że wy tylko znacie się na tym. Gdzieś u was powstaje skrzywienie spojrzenia. Plan, postęp techniczny, inwestycje. Tak, ale cel? Widzicie ten cel?

Cel. Słyszał na zebraniach, czytał, sam mówił. Jednak ci ludzie za stołem brali to zupełnie poważnie. Nigdy nie przewidywał takiej ewentualności, że słowa z plakatów zstąpią na ziemię, obloką się w żywe ciało, będą wymagać konkretnej odpowiedzi. Nie są więc pojęciem umownym, określeniem dla maluczkich.

Trafiają celnie, bardzo celnie. W samo sedno sprawy. Do tego nie przynosi się nigdy, że tak pomyślał. Szczególnie tu, w tym budynku.

Chodził po zakładzie, kierował ludźmi, patrzył na nich. Przychodził do niego w różnych sprawach. Różni... Na co dzień jakże często byli brudni, kłótniwi, wyrażali się wulgarnie. Odpoczywał dopiero w domu, bo nawet w klubie czasem spotykał ludzi źle wychowanych. Ostatecznie trzeba mieć pewien poziom i nie dać się z niego zepchnąć w dół. Dla ambicji było stanowisko, zarobek jako zapłata za wiedzę i zdolności. Dawał z siebie dużo. Chyba wystarczy. Nikt nie mógł powiedzieć, że za darmo bierze pieniądze. Lubili podejmować nawet ryzykowne decyzje, odczuwać dreszcz emocji. Udało się. No pewnie, ryzykować trzeba mądrze. Uważają go za zdolnego, energicznego kierownika. Mówią, że ma przed sobą przyszłość. I nagle ta historia. Jak to oni mówili?

Sekretarz pochylił się na biurko, ręka unosiła się lekko i opadała w dół jakby przybijając słowa.

Ludzie go wnieśli dla siebie i dla wszystkich. A surowe prawa produkcji też ludzie ustanawiali. Więc jak?

Powiedzieli: — Ten tylko może się nazywać kierownikiem jakiegoś zespołu, kto te dwie prawdy potrafi połączyć w jedną całość. Kto kocha ludzi — i im chce służyć całym sobą.

Mrok roztopił spręży. Blask ulicznych świateł ściele się na sztach. Siedzący pod oknem człowiek oparł głowę na rękach. Jakby wsłuchiwał się w siebie, w to, co powstawało w nim, rozdziło się, w swoje myśli ciężkie, trudne. A jednak trzeba dojść do końca, w tej wieczornej godzinie powiedzieć sobie wszystko...

JAN ŁYSAKOWSKI